

Polowanie za murem – już nie trzeba oddawać łusek

Witold Daniłowicz

Choć miałem okazję już kilkakrotnie polować w Niemczech, to zaproszenie od Thomasa i jego kolegów szczególnie mnie ucieszyło. Ich obwód jest bowiem położony pod Berlinem, w Brandenburgii, a więc w byłym NRD. Dotychczas polowałem tylko w zachodniej części Niemiec. Oczywiście, prawie 25 lat po zjednoczeniu nie spodziewałem się dużych różnic. Miałem jednak nadzieję, że uda mi się porozmawiać z lokalnymi myśliwymi o łowach w czasach przed – jak to Niemcy określają – przełomem (*Wende*), tj. przed upadkiem muru berlińskiego.

Thomas i jego trzech koledzy od lat mieszkają w zachodniej części Berlina. Po 1989 r. udało im się wydzierżawić nieduży obwód leśny położony ok. 25 km na północny zachód od miasta. Było to możliwe, ponieważ po zjednoczeniu Niemiec na terenie byłego NRD zostało wprowadzone, praktycznie z dnia na dzień, ustawodawstwo Republiki Federalnej, w tym także przepisy łowieckie. Ci, którym udało się odzyskać dawne nieruchomości o powierzchni co najmniej 75 ha, mogli utworzyć własne obwody. Na pozostałych powstały obwody wspólne, które wydzierżawiano w drodze przetargów. Z oczywistych powodów większość z nich trafiła w ręce Niemców z zachodu – miejscowych nie było na nie stać.

Po przyjeździe do Berlina zacząłem od wyrobienia sobie niemieckiej karty łowieckiej. W tym celu udałem się do Nauen, miasteczka, w którym mieścił się stosowny urząd landu Brandenburgii. Po okazaniu szeregu dokumentów: legitymacji PZŁ, europejskiej karty broni, ubezpieczenia, zaproszenia na polowanie, a także zdjęcia i po wpłaceniu 25 euro stałem się posiadaczem bardzo tradycyjnie wyglądającej zielonej książ-



Arch. Witolda Daniłowicza (5)

Od lewej: dwaj dzierżawcy Kurt i Thomas, Bettina oraz autor

żeczki – niemieckiego pozwolenia łowieckiego (*Jagdschein*).

W cieniu historii

Załatwienie formalności zajęło nam niecałe pół godziny, więc był jeszcze czas na zwiedzenie stolicy Brandenburgii – Poczdamu. To małe podberlińskie miasto jest odpowiednikiem naszego Wilanowa. Tu swoją letnią rezydencję – pałac Sanssouci – mieli królowie Prus. Tutaj również znajduje się Cecilienhof – pałac zbudowany tuż przed pierwszą

wojną światową dla cesarskiego następcy tronu Wilhelma i jego żony Cecylii, w którym latem 1945 r. odbyła się konferencja poczdamska. Wzięli w niej udział przywódcy trzech zwycięskich mocarstw – Harry Truman, Józef Stalin i Winston Churchill. Podjęte zostały wtedy decyzje dotyczące powojennych losów Niemiec. Ustanowiona wówczas Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec w 1947 r. postanowiła o formalnej likwidacji państwa pruskiego ze stolicą w Berlinie.

dr Witold Daniłowicz

witold.danilowicz@gmail.com
www.wdanilowicz.pl



W ten sposób przestało istnieć państwo założone przez Albrechta Niedźwiedzia w 1157 r. jako Marchia Brandenburska wchodzące w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Margrabia był jednym z 11 elektorów wybierających cesarza. W 1618 r. margrabstwo złączyło się unią personalną z Prusami Książęcymi. W 1701 r. książę elektor Fryderyk ogłosił się królem w Prusach i w ten sposób Brandenburgia przestała istnieć jako osobny byt polityczny. W 1871 r. Królestwo Prus weszło w skład powstałego właśnie Cesarstwa Niemieckiego, a król Prus koronował się na cesarza.

Przegrana wojna doprowadziła w 1918 r. do upadku monarchii w Niemczech i powstania republiki. W jej skład weszły również Prusy, przekształcone w republikę pod nazwą Wolne Państwo Prusy. Przetrwała ona do 1947 r., aczkolwiek po dojściu do władzy narodowych socjalistów jej samodzielność była bardzo ograniczona.

W 1990 r. Brandenburgia została odtworzona jako kraj związkowy w zjednoczonych Niemczech.

Nim zabrzmiał sygnał

Przed polowaniem zostałem zaproszony na kolację z udziałem wszystkich czterech dzierżawców obwodu i ich żon. Odbyła się ona w malutkim pensjonacie, w którym spędziliśmy też noc. Dzięki temu mogliśmy nie tylko zjeść doskonały gulasz, lecz także raczyć się świetnym francuskim *bordeaux* przywiezionym przez Rajmunda. Niestety, trzeba było wcześniej położyć się spać, aby być gotowym na poranną zbiórkę.

O 7.00 rano zameldowaliśmy się na podwórzu u Jensa – gospodarza obwodu i właściciela miejscowego skupu tusz zwierzyny oraz producenta wyrobów z dzicyzny. W jednym z pomieszczeń gospodarczych, udekorowanym suszącymi się kielbasami, stał stół, a na nim kawa, herbata i prowiant – chleb, masło, ser, dżemy i wędliny. Kto nie jadł jeszcze śniadania, mógł to nadrobić. Ponieważ mój ranny posiłek ograniczył się do skromnego rogalika, skorzystałem z okazji, aby przygotować sobie kanapki, które później bardzo się przydały.

To był też dobry moment, aby przywitać się z innymi uczestnikami polowania. Myśliwi, w liczbie 20, zostali zaproszeni przez dzierżawców obwodu. Niektórzy przyjechali z Berlina czy z in-



Myśliwi, którzy strzelili dziki, po wręczeniu złomu

nych części Niemiec, ale większość stanowili okoliczni mieszkańcy. Podobnie jak naganiacze. Zdumiało mnie to, że ci ostatni nie otrzymują żadnej rekompensaty finansowej za pomoc w polowaniu. Uczestniczą oczywiście w posiłku po zakończonym pędzeniu (zupa gulaszowa, piwo, grzane wino i inne napoje), a wieczorem są zaproszeni wraz z myśliwymi na kolację do miejscowej gospody.

Kolejnym punktem programu była rejestracja uczestników. Z dumą okazałem moją nowiutką licencję, odebrałem mapkę obwodu z zaznaczonymi stanowiskami, podpisałem listę obecności i udałem się na zbiórkę. Sygnaliści odegrali sygnał powitania, po czym głos zabrał Detlev – jeden z dzierżawców, który w imieniu całej czwórki przywitał zebranych. Omówił organizację polowania – jeden miot trwający od godz. 9.00 do 13.00. Piętnastominutowa przerwa o 10.30 na patroszenie strzelonej zwierzyny leżącej w pobliżu stanowiska. Poszukiwanie z dala od zwyczajki jest zabronione. Sporo czasu poświęcił zasadom bezpieczeństwa, które nie różnią się od tych znanych z naszych polowań. No i najważniejsze – informacja o tym,

jaką zwierzynę możemy strzelać. W tym przypadku były to wszystkie dziki (z wyjątkiem prowadzących loch), danielę – z wyjątkiem byków łopataczy (zastreżonych dla dzierżawców obwodu), sarny oraz drapieżniki: lisy, jenoty i kuny.

Jeśli chodzi o sarny, to Detlev prosił o niestrzelanie kozłów, mimo że niemieckie prawo łowieckie dopuszcza ich pozyskiwanie do 15 stycznia. Tę zmianę w kalendarzu polowań wprowadzono niedawno pod naciskiem leśników, którzy argumentowali, że sarny wyrządzają tak duże szkody w lasach, że redukcja ich populacji jest konieczna. Najlepszą okazją do tego są polowania zbiorowe, ale myśliwi bali się strzelać do tych zwierząt w obawie przed trafieniem kozła i związanymi z tym nieprzyjemnościami. Rozwiązaniem było właśnie wydłużenie sezonu na rogacze do połowy stycznia.

Na koniec zbiórki każdemu gościowi nieznanemu obwodu przydzielono lokalnego myśliwego, który miał go zawieźć na stanowisko. Wprawdzie dostaliśmy mapki, ale nie sądzę, aby ktoś będący pierwszy raz w łowisku mógł trafić na swoją zwyczajkę samodzielnie. ▶



Nietypowy pokot ze zwierzyną wiszącą na przyczepie. Detlev prowadzi zbiórkę

Trafiony czy nie?

Po odegraniu sygnałów ruszyliśmy do samochodów. Ze względu na głębokie koleiny i rozmokły grunt mój towarzysz nie mógł podwieźć mnie pod samo stanowisko, znalezienie go okazało się jednak bardzo proste. Była to niewysoka zwykła postawiona na podłużnym garbie, w niezbyt gęstym lesie sosnowym. Widoczność dobra, kulochwyty też, ponieważ zarówno w prawo, jak i w lewo strzelało się w dół ze wzniesienia. Wyjątek stanowiły strzały wzdłuż linii garbu, dlatego na drzewach na wprost i z tyłu mojego stanowiska były zawieszane tablice z dużymi, czerwonymi, odwróconymi trójkątami, które przypominały, że w tych kierunkach nie wolno strzelać.

Stanowisko zająłem o 8.30, więc miałem przed sobą 4,5 godz. czekania. Cierpliwość jest jedną z tych niezbędnych w łowiectwie cech, których mi brakuje. Ale nie było wyjścia. Na szczęście pogoda była dobra, ok. 0°C, nic nie padało, na ziemi leżała cienka warstwa śniegu – ulubiona przez myśliwych ponowa. Czas mijał, a zwierzyny nie było widać. Po godzinie przy moim stanowisku pojawili się naganiacze, którzy też niczego nie widzieli. 10 min. po ich

odejściu usłyszałem jednak krzyki. Zacząłem się rozglądać. Po chwili dostrzegłem z prawej strony sunącego w moim kierunku niedużego dzika, zapewne z rozbitej watahy.

Przed rozpoczęciem wspinaczki pod moją górkę czarny zwierz obrócił się bokiem i przystanął. Sytuacja byłaby idealna do oddania strzału, gdyby nie to, że widziałem jedynie jego zad i chwost, a resztę zasłaniała duża sosna. Postanowiłem strzelać na zakładkę, jak tylko zza drzewa wychyli się jego gwizd. Po chwili dzik ruszył, ale niestety szybciej niż się spodziewałem. Strzeliłem, ale zwierz nie padł w ogóle, tylko posuwał się dalej pod górkę. Strzał musiał być jednak celny, ponieważ dzik poruszał się znacznie wolniej i z wyraźnym wysiłkiem. Po osiągnięciu szczytu najwyraźniej miał zamiar się położyć. Zamiast poczekać, aż to zrobi i dojdzie, strzeliłem jeszcze raz, chcąc skrócić cierpienie zwierza. Musiałem jednak spudłować albo tylko lekko go drasnąć, bo zaczął schodzić na drugą stronę wzniesienia. Po 200 m zniknął mi z oczu w zaroślach.

Reszta miotu przebiegła pokojowo. W oddali pojawiła się chmara danieli, ale poszła w inną stronę. Z różnych kie-

runków dobiegały strzały, ale w mojej okolicy żadna zwierzyna już się nie pokazała. Ok. godz. 11 zaczął padać śnieg, który później przeszedł w deszcz. Przed końcem miotu na ziemi nie było już prawie wcale białej pokrywy, wszystko stopniało, dlatego po zakończeniu miotu nie mogłem znaleźć farby. Zaznaczyłem więc miejsce, gdzie dzik został trafiony i postanowiłem poczekać na psy. Po chwili podszedł do mnie myśliwy z sąsiedniego stanowiska, który potwierdził moje przypuszczenia, że zwierz był trafiony i że nie mógł odejść daleko. Pojawił się też mój opiekun zaniepokojony faktem, że nie ma mnie tam, gdzie mnie wysadził. Pokazałem mu zaznaczone miejsce strzału i pojechaliśmy na zbiórkę. Po ponad 4 godz. na stanowisku gulasz z piwem smakował wybornie.

Nieprawdopodobny finał

Grupa poszukiwawcza udała się po strzeloną zwierzynę, a mój opiekun wziął kolegę z psem i pojechali szukać mojej zdobyczy. Żałuję, że mi o tym nie powiedzieli, bo chętnie pojechałbym z nimi. Wrócili po 45 min., ale bez dzika. W to, co opowiedzieli, aż trudno było uwierzyć.



Autor z miejscowym myśliwym

Pies od razu podjął trop w zaznaczonym miejscu. Po przejściu 300 m poszukiwacze znaleźli płuco dzika. Pies prowadził ich dalej. Po drodze dostrzegli jeszcze kilka innych resztek tuszy, aż dotarli do szerokiego, krwawego śladu. Sprawa się wyjaśniła – dzik padł ofiarą wilka, który najpierw zżarł wnętrzności, a potem zaczął go nieść, gubiąc po drodze różne kawałki nadżartego zwierza. Zmęczony się, położył go na ziemi i ciągnął. W tym miejscu poszukiwania zakończono.

Niektórzy powątpiewali w prawdziwość tezy o wilku unoszącym dzika. Okazało się jednak, że już na początku miotu mój sąsiad zauważył wilka przy swoim stanowisku. Dwa kolejne były też widziane w miocie przez Jensa. Tak więc ostatecznie wersja, że mój dzik został porwany przez drapieżnika, została powszechnie zaakceptowana.

Dyskusja nad tym dość wyjątkowym zdarzeniem stała się okazją do rozmowy z moim sąsiadem. Nie było to takie proste, jak mogłoby się wydawać, bo Peter, mieszkaniec pobliskiej wsi, mówił wyłącznie gwarą. Żaden dialekt niemiecki nie jest łatwy do zrozumienia dla kogoś, kto ma do czynienia tylko ze standardowym niemieckim (*Hochdeutsch*), którego uczy się w szkole i słyszy w radiu czy w telewizji. Wszyscy Niemcy go oczywiście znają, ale większość, zwłaszcza na prowincji, na co dzień posługuje się wyłącznie lokalną gwarą. Niektóre dialekty, szczególnie z terenów górskich, są bardzo trudne do zrozumienia. Na szczęście ten berliński do nich nie należy. Chodzi głównie o wymowę słów. Na przykład *ich* (ja) Berlińczycy wymawiają *ik*, a zamiast *kein* (żaden) mówią *kijn*. W dodatku „g” wymawiają jak „j”, więc zamiast *gut* (dobry) słyszymy *jut*.

Trochę wspomnień i sygnał pożegnania

Mimo pewnych trudności z komunikacją udało mi się dowiedzieć, że przed 1989 r. wschodnioniemieckie łowiectwo było zorganizowane na wzór naszego. Z tą jednak różnicą, że myśliwi nie mogli trzymać broni w domu. Z tego też powodu każde koło łowieckie miało magazyn broni, którą wydawano członkom przed polowaniem. To i tak był postęp, bo w początkowym okresie istnienia NRD broń była przechowywana na policji. Myśliwi mogli mieć tylko broń śrutową, więc na zwie-

rzynę grubą polowali breneką. Musieli się rozliczać z każdego naboju, a jeżeli oddali strzał, to musieli zwrócić łuskę.

W tamtych czasach Peter nie mógł polować. Jako „kapitałista” (prowadził mały warsztat, w którym naprawiał silniki elektryczne) był uważany za element politycznie niepewny i nie dostał pozwolenia na broń. Proponowano mu wykazanie lojalności wobec władzy poprzez wstąpienie do Towarzystwa Przyjaźni Niemiecko-Radzieckiej. Nie zdecydował się jednak na to i dlatego zaczął polować dopiero po upadku muru berlińskiego.

Czas było udać się na pokot. Zwierzyna (inaczej niż u nas) nie leżała na ziemi, tylko wisała na specjalnym rusztowaniu. Jak mi tłumaczono, jest to lepsze rozwiązanie, jeśli się chce zachować dobrą jakość mięsa. Mam jednak wrażenie, że chodziło też o wygodę organizatorów. Przebieg uroczystości był także trochę inny niż u nas. Najpierw udekorowano króla i królową polowania. Później występowali kolejno myśliwi, którzy strzelili poszczególne gatunki zwierząt – daniela, sarny i dziki. Prowadzący polowanie gratulował każdemu myśliwskim pozdrowieniem: *Waidmannsheil* (niemiecki odpowiednik naszego „Darz Bór”), a wyróżnieni dziękowali, mówiąc: *Waidmannsdank*. Każdy otrzymywał złom, po czym sygnaliści odgrywali sygnały związane z danym gatunkiem zwierzyny będące odpowiednikami tych granych u nas. Uroczystość zakończyły główny sygnał niemieckich myśliwych, a po nim sygnał pożegnania. ●

Drewniane podstawki pod trofea

Rogacz 059 88 zł	Dzik 208 48 zł	Muflon 305 80 zł	Rogacz 008 32 zł
Daniel 401 88 zł	Jeleń 103 80 zł	Jeleń 110 109 zł	
120 zł Rogacz 044	120 zł Rogacz 065	88 zł Rogacz 038	32 zł Rogacz 038

Wszystko w magazynie,
wysyłka następnego dnia
Materiał - brzoza

www.finexs.eu
664 587 573
finexs@finexs.eu